

FRONDA

BRIAN
MOORE

A vibrant, expressive painting of a church with a prominent tower, situated on a cliff overlooking a blue sea. A large, bright rainbow arches over the church. In the foreground, two figures are walking on a green path. A helicopter is visible in the sky. The bottom right corner features a green diagonal banner with white text.

Katolicy

POWIĘŚCI
Z KRZYŻYKIEM

Brian Moore (1921-1999)

Wybitny kanadyjski powieściopisarz i scenarzysta.
Ceniony przez krytyków za wyjątkową klarowność stylu
i mistrzostwo psychologicznego portretu, zwłaszcza postaci kobiecych.

Urodzony (jako jedno z dziewięciorga dzieci) w rodzinie
północnoirlandzkich katolików, już w młodości przestał chodzić
do kościoła, a dobiegając trzydziestki, opuścił kraj i osiadł na stałe w Kanadzie.

Pisał głównie dreszczowce i scenariusze filmowe,
między innymi dla Alfreda Hitchcocka. Najciekawszą jednak grupą jego
utworów są powieści psychologiczne zawierające dramatyczne wątki
religijne. Ich akcję pisarz umiejscowił przeważnie w Irlandii.

Ich krytyczne ostrze nie jest jednak, wbrew opinii niektórych
powierzchnowych czytelników, skierowane przeciw religii i Kościołowi.
Prowadząc narrację tak, by w jak najjaskrawszym świetle przedstawić
rozpowszechnioną hipokryzję, cyniczny pragmatyzm
czy skrywaną pod celebrą faktyczną utratę wiary, Moore paradoksalnie
wyraża swoją pierwotną młodzieńczą tęsknotę za prawdziwą świętością
i wiernością ewangelicznym zasadom.

Do najbardziej znanych utworów Briana Moore'a należą m.in.:

Powieści: *Judith Hearne* (1955), wyd. pol. *Judyta* (1971); *The Feast Of Lupercal* (1957),
wyd. pol. *Pierwszy raz* (1972); *The Luck of Ginger Coffey* (1960), wyd. pol. *Irlandzkie
szczęście* (1968); *An Answer From Limbo* (1962), wyd. pol. *Odpowiedź z otchłani* (1969);
The Emperor Of Ice-Cream (1965), wyd. pol. *Z cukru był król* (1972); *Catholics* (1972),
wyd. pol. *Katolicy* (FRONDA 2009); *The Great Victorian Collection* (1975); *The Mangan
Inheritance* (1979), wyd. pol. *Dziedzictwo Manganów* (1985); *Cold Heaven* (1983),
wyd. pol. *Zimne niebo* (1998); *Black Robe* (1985), wyd. pol. *Czarna suknia* (1992);
The Colour of Blood (1987), wyd. pol. *W kolorze krwi* (1992); *The Statement* (1995),
wyd. pol. *Oświadczenie* (1997); *The Magician's Wife* (1997), wyd. pol. *Żona magika* (2000).

Filmy: *Torn Curtain* (*Rozdarta kurtyna*), reżyseria: Alfred Hitchcock, scenariusz: Brian
Moore, zdjęcia: John F. Warren, muzyka: John Addison, USA 1966, triller; *Black Robe*
(*Czarna suknia*), reżyseria: Bruce Beresford, scenariusz: Brian Moore, zdjęcia: Peter
James, muzyka: Georges Delerue, Australia, Kanada 1991, dramat.

W serii

POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM

dotychczas ukazały się:

Gilbert Keith Chesterton

KULA I KRZYŻ

Gilbert Keith Chesterton

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM

Gilbert Keith Chesterton

PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA

Gertrud von Le Fort

PAPIEŻ Z GETTA

Walter M. Miller, jr

KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

Brian Moore

KATOLICY



W przygotowaniu:

Gilbert Keith Chesterton

NAPOLEON Z NOTTING HILL

Brian Moore

Katolicy

FRONDA

Tytuł oryginału
CATHOLICS

Copyright © 1972 by Brian Moore
All rights reserved.

Copyright © 2009 for the Polish Edition by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie

Tomasz Walenciak
Copyright © by Tomasz Walenciak

Redakcja i korekta
Justyna Rojek

Projekt graficzny serii
Halina i Bartłomiej Kuźniccy

Projekt okładki
Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-24-6

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
faks (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Menedżer projektu
Wojciech Salwa

Druk i oprawa
Drukarnia GS, Kraków

Wydanie I

I

Mgła się uniosła. Wyspa była tam, gdzie powinna. Przybysz doszedł na koniec opuszczonej przystani i ujrzał ją przez trzy mile oceanu, unoszącą się na morzu jak przewrócony kuter rybacki. Poranne promienie słońca wędrowały wzdłuż kilu góry, nad dolinami czarnymi jak smołowane burty.

Pomyślał o Rzymie. Co zaskakujące, sam zakon miał mało informacji. Przy Lungotevere Vaticano wręczono mu niewznawianą już książkę *Przewodnik Weira po zabytkach sakralnych*.

„Opactwo Muck, Kerry, Irlandia. Położone na małej wyspie nieopodal malowniczego skalistego wybrzeża Oceanu Atlantyckiego znanego jako Pierścień Kerry. Klasztor (Zakonu św. Albana) ufundowany

w 1216 roku, przebudowany w latach 1400-1470, ma na stałym lądzie, przy górze Coom, nieopodal wsi Cahirciveen, filię pod wezwaniem św. Krzyża. Filia ta, splądrowana przez żołnierzy Cromwella, była w czasach kary miejscem potajemnych mszy, odprawianych pod gołym niebem na ołtarzu Skąty Mszy. Samo opactwo (na wyspie Muck) uniknęło grabieży w czasach Cromwella. Rozsiadło się na zachodnim grzbiecie wyspy z rozległym widokiem na wspaniałe morze: z wieży opactwa odwiedzający spogląda na siwe fale rozbijające się o nagie skały. Mnisi utrzymują się z rybołówstwa i zbierania wodorostów”.

Zadzwonił ponownie przed śniadaniem. Ładna dziewczyna w recepcji jego hotelu uruchomiła niewiarygodnie staromodne urządzenie, aby zadzwonić do centrali.

— Połącz nas z Muck. Nie, Sheilagh, wszystko gra, to dla tego księdza, który rozmawiał z nimi zeszłej nocy.

— Proszę, proszę księdza. – Wziął słuchawkę. Jakiś dzwonek dźwięczał i dźwięczał. – Muck jeden – powiedział trzeszczący głos gdzieś na Atlantyku.

Przybysz podał swoje nazwisko. Powiedział, że poproszono go, by zadzwonił i sprawdził, co z pogodą.

— Jeszcze raz, jak godność?
— Kinsella. *Ksiądz* James Kinsella. – Przyswoił swoją lekcję.

— Ach. *Ksiądz* Kinsella. Pewnie, pošemy po księdza łódź. Proszę iść na przystań, a Padraig niedługo tam będzie.

Mewy szukające resztek ryb szybowały w górze i nurkowały w słonawe wody w dole. Za Kinsellą, na końcu drogi wiodącej do przystani, stały trzy pozbawione dachu betonowe hangary na łódzie, o podłogach pokrytych zielskiem, woniejące uryną i owczymi odchodami. W jednym z hangarów stał bardzo stary samochód, który Kinsella uznał początkowo za porzucony. Wczoraj, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, próbując wypatrzeć wyspę we mgle, zajrzał do środka. Na przednim siedzeniu leżała jedwabna, fioletowa stuła. W hotelu po kolacji spytał, kto zbudował tę przystań. Nie, nie zbudowali jej mnisi, zrobił to rząd Irlandii, lata temu, zanim morze zostało zanieczyszczone. W tamtych czasach na wyspie mieszkało jakieś dwadzieścia rodzin.

— Od tamtej pory prawie wszyscy już wyjechali. Rozproszyli się na wszystkie strony świata.

— Zanieczyszczone. Czy to znaczy, że mnisi już nie łowią?

— Ach nie, połowy są znowu wspaniałe. Jakiś czas temu oczyścili wodę. Problem w tym, że zrobili to za późno dla ludzi z Muck. Na wyspie zostały tylko cztery rodziny. I mnisi.

Ten stary samochód, który widział w hangarze, czy należał do klasztoru?

— Tak jest, w rzeczy samej. Mnisi jeżdżą nim w niedzielę do Cahirciveen. To dwadzieścia mil, proszę księdza.

— A co, jeśli morze jest wzburzone albo jeśli jest mgła i nie można przy płynąć z wyspy łodzią?

— Wtedy w Cahirciveen nie ma mszy.

Nie ma mszy? Jego umysł wypełniły wczorajsze widoki: ulice tej wioski w Kerry, szare dziewiętnastowieczne fasady domów, rynek, szary gotycki kościół, ulice zbudowane przed pojawieniem się dzisiejszego ruchu i nieprzejezdne dla niego. Teraz w ciągłym chaosie samochodów, autobusów, ciężarówek, przyczep kempingowych, furgonetek jadących w niekończącej się, tłocznej procesji przez ciasne uliczki, podczas gdy na obrzeżach jeszcze więcej pojazdów ugrzęzło w błotnistym rozgardiaszu improwizowanych parkingów i miasteczek namiotowych. A wszędzie w Cahirciveen pielgrzymi, upchani ciasno w sklepach i pubach, stłoczeni na rynku jak zwierzęta w dzień

targowy. Nikt nie wiedział, ilu ich tu było w dany weekend, ale od miesiący na pięćdziesiąt mil wko-
to nie było wolnego pokoju czy łóżka do wynajęcia. Oczywiście byli to Irlandczycy, ale wydawało się, że jest niemal tyle samo Anglików i Szkotów. Inni przy-
bywali z kontynentu promem lub lotem czarterowym: najwięcej Francuzów, ale też wielu Niemców, a na-
wet paru pielgrzymów z samego Rzymu. Amerykanie przylecieli w dwóch grupach czarterowych, w tym wielu staruszków, którzy nigdy przedtem nie przeby-
li Atlantyku. Zdawało się, że przybywali po prostu, aby wysłuchać przynajmniej jednej mszy, odmówić różaniec i wyjechać. Niewygodne miejscowe zakwa-
terowanie nie zachęcało do długiego pobytu. Było to coś niezwykłego, nawet w historii pielgrzymek. Nie było cudów, nie było hysterii, nie było nawet szcze-
gólnego zapału. Nastrój był nostalgiczny. Pielgrzymi wstawali wcześniej w niedzielny ranek, ruszali auto-
busami i samochodami do podnóża góry Coom, pięć mil od wioski. Wchodzili pieszo na górę, aby klęczeć na zabłoconych, trawiastych stokach lub na skalnych półkach, często w nieustępliwym irlandzkim deszczu. Większość widziała Skałę Mszy i księdza tylko z pew-
nej odległości, ale wszyscy słyszeli łacinę, grzmącą z głośników skleconych przez ludzi ze wsi. Łacina.

Dzwonek przy komunii. Mnisi jako ministranci wypowiadający łacińskie responsy. Kadzidło. Stara msza.

— Nie ma mszy? – powiedział do właściciela hotelu. – Ale kiedy przejadą taki kawał drogi, co robią, jeśli nie ma mszy?

— A, to dopiero piękny widok, proszę księdza. Pielgrzymi po prostu zostają tam, klęczą i odmawiają różaniec. Są tam cały dzień, czekają i modlą się.

— Ale czy niektórzy z nich nie próbują się dostać na samą wyspę?

Właściciel hotelu roześmiał się, pokazując szczerbę w zębach.

— Bez obaw! Do brzegów Muck nie przybije żadna łódź, która nie wie, jak dokonać tej sztuki. A łodzie z wyspy nie przewiozą nikogo bez pozwolenia opata. Poza tym – powiedział właściciel hotelu, znowu poważny – ci pielgrzymi to naprawdę dobrzy ludzie. Kiedy opat powiesił tu w kościele w Cahir-civeen tabliczkę z napisem „spowiedź tylko dla parafian”, większość pielgrzymów przestała zawracać mnichom głowę. Niech ksiądz zauważy, kolejki nadal są długie. Po mszy w niedzielę trzech mnichów cały czas spowiada w kościele, póki nie przyjdzie pora wracać.

— Ale dlaczego spowiedź trwa tak długo?

— Nadal mamy spowiedź osobistą. Jedna osoba naraz w konfesjonale.

Spowiedź osobista. *O tym* w Rzymie nie wiedzieli.

— A co ze spowiedzią powszechną?

— Spowiedzią powszechną, proszę księdza?

— Kiedy wszyscy wierni wstają przed mszą i odmawiają akt skruchy?

— Ach, to się tu nigdy nie przyjęło.

Gniew, nagły i zimny, kazał Kinselli powiedzieć: – Przyjęło się wszędzie indziej!

Zawstydzony, ujrzał jak właściciel hotelu postusznie kiwa głową, zganiony, lecz nie przekonany.

Wczoraj, kiedy przyjechał samochodem z Shannon, Kinsella miał na sobie szarozielony, dżinsowy mundur polowy i niósł wojskowy worek i teczkę na dokumenty w wojskowym stylu. Dziewczyna w recepcji „Hern’s Hotel” była oschła. Hotel był przepiętny, sporządzono listę oczekujących na miejsce na dwa kolejne miesiące i od wielu dni nie robiono rezerwacji.

— Ale moją rezerwację przyjęliście – powiedział. – Potwierdziliście ją, a potwierdzenie przesłano teleksem z Dublina do Centrum Ekumenicznego w Amsterdamie. To *jest* „Hern’s Hotel”, prawda?

— Jeszcze raz, jak się pan nazywa?

— James Kinsella. Ksiądz katolicki – powiedział w ekumeniczny sposób.

— Och, ksiądz Kinsella. Przepraszam księdza. Oczywiście, mamy dla księdza pokój.

Ksiądz. W zatłoczonym hotelowym lobby wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie krążyli smutno wokół stojaków z pocztówkami znad morza i półek z tanimi książkami w miękkiej oprawie. *Ksiądz.* Poczzerwieniałe od słońca twarze obracały się, spoglądając na niego wyniośle z powodu jego amerykańskiego akcentu i ekumenicznego stroju. Większość tych pielgrzymów była starsza od niego, wystarczająco stara, by pamiętać mszę łacińską. Ale byli też młodszy, dawni katolicy charyzmatycy, teraz gorliwie pragnący doświadczyć życia jako dzisiejsi *penitentes*. Ich pogarda dla niego, jego własna pogarda w odpowiedzi wyszły mu na spotkanie w drodze do schodów i uprzywilejowanego pokoju. Jego przyjaciel Visher, behawiorysta, przeprowadził badania postaw współczesnych katolików wobec duchowieństwa.

— Ludzie to owce – powiedział Visher. – Nie zmienili się. Chcą tych starych proboszczów i starych lekarzy rodzinnych. Owce potrzebują autorytarnych owczarków szczypiących je w pięty od narodzin do

pogrzebu. Ludzie nie chcą prawdy czy sprawiedliwości społecznej, nie chcą tej ekumenicznej tolerancji. Chcą pewników. Stary proboszcz im to obiecywał. Ty nie możesz, Jim.

Fale pluskały o pokryte szlamem stopnie. W uchu Kinselli pojawił się nowy dźwięk – pulsowanie silnika. Spojrzał na morze, ale nie zobaczył łodzi. Dźwięk wyprzedził obraz, niósł się wyraźnie przez zwieńczone bielą fale. Pulsował. Nadchodzi, nadchodzi; bolesna konfrontacja. On i opat Muck.

— To nie będzie twoja pierwsza wizyta w Irlandii – powiedział ojciec generał, podnosząc wzrok znad teczki. Było to stwierdzenie, nie pytanie, ale czuł, że powinien coś odpowiedzieć.

— Nie, sir. Na ostatnim roku w Harvardzie pojechałem tam na zajęcia szkoły letniej. Szkoły Yeatsa, w Sligo. Moi przodkowie byli Irlandczykami. Pochodzili, jak mi się zdaje, z hrabstwa Mayo. To na zachodzie, tam gdzie to opactwo.

— William Butler Yeats – generał uśmiechnął się swoim nikłym, pruskim uśmiechem. – „Cóż to za sroga bestia, wyczuwszy swą godzinę...”. Odpowiednie. Chcę, żebyś pogrzebał tę bestię. A jak mi się zdaje,

sposobem, by to osiągnąć, będzie nadanie ci statusu mojego pełnomocnika. Wysłannik, zwłaszcza młody, który musi się meldować w kwaterze głównej, wydałby się tym starym mastodontom zwykłym nowicjuszem. Pokażę temu opatowi wyraźnie, że ty to ja. Twoja decyzja będzie ostatecznym zarządzeniem Zakonu.

— Co z ojcem prowincjałem w Dublinie, sir?

Generał westchnął.

— Wydaje się, że on i opat z Muck mają zatarg sięgający aż pontyfikatu Pawła. Jak ci wiadomo, od Soboru Watykańskiego IV biskupów nie wiążą już rozkazy prowincjałów. Ci irlandzcy opaci są infułtami i mają tytuł biskupi. Każdy z nich jest *prelatus nullius*, nie należy do nikogo. Ten akurat postanowił zignorować zalecenia prowincjała. Jednak nie może zlekceważyć moich.

Ojciec generał podniósł kartkę ksero, kopię z mikrofilmu starej kroniki domu zakonnego, której oryginał był już zniszczony.

— Ten krnąbrny opat z Muck – powiedział generał. – Zobaczmy. To niejaki Tomas O'Malley, obecnie sześćdziesięciodziewięcioletni, syn właściciela zieleniaka. Ciekawe, co to jest zieleniak?

— Sklep z warzywami, sir.

— Ach. Opat jest wytworem irlandzkiego seminarium, miejsca o nazwie Kilcoole. Zdobywca nagród, łacina, o, lala! Doktorat z... nie mogę przeczytać tego pisma, to chyba uncjała... Nieważne. Cztery lata w opactwie Buckmore w Kent. Potem Irlandia, Dublin, hmm, hmm, i ustanowiony opatem na Muck. Rzucony na jakąś odległą wysepkę i porzucony w stosunkowo młodym wieku, wydawałoby się, że zakon nie wiązał z nim wielkich nadziei. Dalsze życie w ubóstwie, trzydziestu mnichów, wszyscy rybacy, dochód z krasnorostów i rodymenii, cokolwiek to jest, i ze sprzedaży nawozu – no cóż, wystarczy tego. Możesz to przejrzeć w wolnej chwili.

Generał podniósł zakonny formularz statystyczny.

— Tu znajdziesz wiek opactwa, szczegóły nadań i tym podobne. Chyba rozumiem, dlaczego interesują się tym media, przy naszej obecnej tęsknocie za przeszłością, której nigdy nie znaleźliśmy. Klasztor ufundowano w 1216 roku – generał rozsiadł się w swoim fotelu wypoczynkowym i wyjrzał przez wysokie okna swojego biura. Poniżej znajdował się nowy deptak Lungotevere Vaticano, a za nim mętny, błotnisty nurt Tybru. Wzrok generała powędrował w lewo, aby zatrzymać się na dachach Watykanu i kopule św. Piotra, ogromnej nawet z dystansu. – Rok tysiąc dwieście

szesnasty. Pomyśl tylko. Dopiero co zakończył się IV Sobór Laterański. Na Stolicy Piotrowej zasiadał Innocenty III. A od wybudowania tego tam wielkiego szkaradzieństwa dzieliło nas trzysta lat.

Spojrzał ponownie na formularz statystyczny.

— Na początku opactwo nie było nasze. Zostało ufundowane przez jakiegoś lokalnego króla na życzenie Patryka, irlandzkiego biskupa i świętego. Zakon św. Albana wniósł o jego przejęcie w 1406 roku. W ciągu kilkuset lat posiadli połowę ziemi w Kerry, stąd ta filia na stałym lądzie. Opat Muck zawsze miał prawo wyznaczać przeora filii pod wezwaniem św. Krzyża w Cahirciveen.

— Wydaje mi się, że obecnie nie ma tam przeora, sir.

— Zgadza się – generał zajął do formularza. – Oczywiście są pobliskie kościoły parafialne, ale mni si nadal pływają na stały ląd, aby odprawiać mszę i spełniać obowiązki kapłańskie. A zmiany, które w naszych czasach zaszyły wszędzie indziej, w Cahirciveen zostały po prostu pominięte. Nasz irlandzki prowincjał poczynił „sugestie” przy czterech różnych sposobnościach, ale ten opat pozostaje ślepy i głuchy. Ciekaw jestem, jak długo by to trwało, gdyby nie turyści. W każdym razie to ekipa BBC narozrabiała.

Msza po łacinie. Wyobraź sobie tylko – powiedział generał i uśmiechnął się. – Chciałbym ją jeszcze zobaczyć, a ty?

— Nie pamiętam jej, sir.

— Plecami do wiernych, szaty liturgiczne, *Introibo ad altare Dei*. I dzwonek! *Sanctus!* O, lala, jak to się zapomina. A teraz to ich przyciąga. Posłuchaj tego. Rejsy promem z Liverpoolu i Fishguard, loty czarterowe z Leeds, Bostonu, Nowego Jorku... pielgrzymka z Francji... nawet *bella Italia!*

Rozbawienie generała zmieniło się w napad kichania. Użył inhalatora, po czym zapatrzył się ponownie w brązowawe wody Tybru.

— Będzie banałem powiedzenie, że można się było tego spodziewać. Nawet Sobór Watykański IV nie może pogrzebać dwóch tysięcy lat w kilka dekad. Ale pomyślałbym raczej, że to będzie Hiszpania. Lub może jakaś dawna kolonia portugalska – generał westchnął. – Jesteśmy tak nieomylnie omylni, nieprawdaż? Czy to nie Chesterton powiedział coś o rzeczach zbyt wielkich, by je dostrzec? Irlandia. Oczywiście! No cóż, proszę. Weź teczkę. Przekaż mojemu sekretarzowi swój plan podróży. Proponowałbym, żebyś dziś wieczorem wskoczył do odrzutowca i poleciał prosto do Amsterdamu. Oczywiście to tylko

formalność, ale w takiej sprawie wszystko musi być całkowicie koszerne – uśmiechnął się. – Powiadomię radę, że jesteś moim pełnomocnikiem. Z Amsterdamu leć prosto do Irlandii. Pamiętaj, chcę żebyś załatwił to do końca miesiąca.

— Tak jest, sir.

— Ściągnij tego starego głupca z tej góry, James. A jeśli będzie sprawiał jakieś problemy, ugryź go!

W zasięgu wzroku pojawił się w jednej chwili kuter rybacki, przewalający się nad grzbietami grzywaczy, jakby w chwili, kiedy Kinsella odwrócił wzrok, jakaś olbrzymia dłoń namalowała go na morskim krajobrazie. Dziesięcotonowiec z silnikiem Diesla, zbudowany, by wdrapywać się na te szare ściany fal i przeskakiwać przez nie. Wiatr przybrał na sile, posyłając wodę z wielkim plaśnięciem przez krawędź przystani. Czarna, sztormowa chmura wypełniła kraniec horyzontu. Podczas gdy kuter zbliżał się przez cieśninę, Kinsella podniósł swoją teczkę, zawierającą list generała i pełnomocnictwo zakonu podpisane w Amsterdamie przez czterech obecnych członków Światowej Rady Ekumenicznej. Podszedł do kamiennych schodów, łódź w tym czasie wygasła silnik i zaczęła dryfować poza ławicą. Pojawił

się człowiek w tweedowej czapce i zaczął się krzątać na dziobie. Drugi stał w sterówce, korpulentny, młody gość w białym, wełnianym golfie. Nie mnisi, jak oczekiwał, ale wyspiarze, z tych nielicznych rybackich rodzin mieszkających nadal we włościach opata. Człowiek w tweedowej czapce odwiązał czarną łódź, unosząc się lekko jak muszla omutka przy rufie dziesięciotonowca. Przyciągnął ją, wskoczył do środka, podniósł długie wiosła i powiosłował energicznie w stronę przystani, a łódź wznosiła się jak gondola w wesołym miasteczku, aby zawisnąć na zwieńczo-nyj białej grzbiecie fali i po chwili zawrotnie opaść. Statek matka wykonał zwrot. Kotwica wysypała się z dzioba jak grzechoczące wnętrzości i zapadła głęboko w morze. Korpulentny młodzieniec wyszedł ze sterówki i stanął na burcie, przypatrując się przez wodę Kinselli. Z kręconymi, rudymi włosami, piegowatą skórą, zadartym nosem i w białym, wełnianym golfie wyglądał jak Dylan Thomas.

Łódź, płynąca spokojnie odkąd schroniła się w przystani, zbliżyła się do stopni, gdzie czekał Kinsella. Wiosłujący siedział plecami do schodów. Zręcznie wciągnął wiosła, prześlizgując się wzdłuż schodów, i wprawnym ruchem po omacku odnalazł samotny żelazny pachotek u ich stóp.

Kiedy wioślarz w tweedowej czapce obrócił się, aby spojrzeć na przystań, na twarz Kinselli wyłynął uśmiech, uśmiech amerykański, moneta powitania. Jednak wzrok wioślarza ominął go, jakby był jakimś leniwym ptakiem morskim, odpoczywającym na przystani. Wzrok omiótł przystań, hangary, drogę za nimi, po czym niechętnie powrócił do Kinselli.

— Dobry – powiedział wioślarz.

— Witam. – Kinsella, uśmiechając się, szedł pewnie ostatnimi oszlamionymi schodami w stronę łodzi. Ale wioślarz pokręcił głową, ostrzegając go, aby nie wsiadał. Wioślarz był młody, przebiegły, o wdzięku dzikiego szczeniaka. Jego szare oczy przypatrywały mu się uważnie jak oczy zwierzęcia w zoo.

— Jestem James Kinsella, z Kościoła katolickiego – powiedział Kinsella z ekumenicznego nawyku.

Między zębami wioślarza pojawił się język, okrągły jak smoczek. Jego właściciel zaczął go ssać, wpatrzony, cichy.

— *Ksiądz* Kinsella – poprawił się Kinsella.

— E, daj spokój – powiedział wioślarz z miękkim, wyspiarskim akcentem.

— Przepraszam?

— Przyływam po księdza. Nie mogę zabrać nikogo innego. Zrozum, przykro mi.

— Ale to ja jestem tym człowiekiem, po którego przyptynałeś. *Jestem księdzem.*

Wioślarz, znowu ssąc język, spojrzął ponad Kinsellą i ponownie przeszukał wzrokiem przystań, hangary i drogę za nimi. Po czym odwrócił się, żeby spojrzeć na kuter zakotwiczony u ławicy. Na jego pokładzie Dylan Thomas podniósł pytająco głowę.

— Nie ma go jeszcze! – zawołał wioślarz.

Chłopak na pokładzie odwrócił się i obejrzał na odległą masę wyspy. Tłusta, czarna chmura była już ogromna i poruszała się na niebie jak ciemna soczewka. Wioślarz również podniósł wzrok.

— Idzie sztorm? – spytał Kinsella.

— Ano.

— No to ruszajmy. Chcesz zobaczyć moje papiery czy coś?

— Daj spokój – powtórzył wioślarz. Odwrócił się, jakby Kinsella już zniknął. Siedział w długiej, lekkiej łodzi i ścisnął pachotek, uspokajając łódź, która kiwała się na chlupoczących falach przystani. Ssał przez chwilę okrągły język, po czym krzyknął przez wodę.

— Nie ma-a sa-aamo-oocho-odu!

Na pokładzie chłopak w białym swetrze pokazał niebo.

— Wra-aca-ajmy, Padraig! – zawołał sylabami dźwięków rozdzielonymi w wędrownie przez fale.

Wioślarz puścił nagle pachotek i podniósł wiosła. Kinsella, poirytowany, sięgnął w dół i chwycił rufę łodzi.

— Puść to!

— Mówię ci, jestem ksiądz Kinsella. Opat mnie oczekuje.

Wioślarz Padraig puścił jedno wiosło, chwycił stalową dulkę spod niego i szybki jak kęsający pies uderzył w dłoń trzymającą rufę łodzi. Wciągając z bólu powietrze, Kinsella cofnął rękę. Dulka opadła na miejsce, wiosło w dulkę i wioślarz dwoma szybkimi pociągnięciami rozhuśtał łódź poza zasięg ramion.

— Nie wyglądasz jak ksiądz, po prostu nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako księdza. – Powiedziała to jego matka, lata temu, kiedy na drugim roku studiów zdecydował się studiować u Hartmanna. Choć sama była niewierząca, dbała o edukację religijną syna po śmierci męża katolika. Dotrzymywała obietnic. Przyszłość potomstwa to co innego, jak dowiedział się jej syn, kiedy oznajmił, że zamierza zostać katolickim księdzem. Na nic zdało się przypominanie, że jego nowy bohater, Gustav Hartmann, złożył ślubowanie

jako mnich Zakonu św. Albana z przyczyn podobnych do tych, dla których Malraux zgodził się zostać ministrem stanu w Piątej Republice, czyli nie dla pozycji społecznej, ale jako krok do przemian społecznych. Uczyniło to Hartmanna dwudziestowiecznym Bolivarem dla całego pokolenia południowoamerykańskich zakonnic i księży rewolucjonistów. Kościół, nauczał Hartmann, pomimo swojej historii i zależności od mitu i cudów, jest obecnie zasadniczą strukturą, poprzez którą rewolucja społeczna może dotrzeć do pewnych rejonów globu. Ale matka Kinselli, liberałka urodzona w latach trzydziestych dwudziestego wieku, nie wierzyła w połączenie ślubów kapłańskich i teorii rewolucji. Podobnie jak ten rybak, wiosłujący coraz dalej od niego, nie widziała rzeczy takimi, jakimi były naprawdę.

Łódź przybiła do kutra. Silnik kutra ożył, kotwica podniosła się z warkotem z morza. Kiedy kuter, burząc wodę, wykonał zwrot i ruszył z powrotem na otwarte wody, Kinsella pobiegł po przystani w stronę wynajętego samochodu. Wskoczył, popędził na złamanie karku w stronę Cahirciveen i telefonu. Był księdzem i nie poznali, że nim jest, ponieważ księża, których znali, nosili czarne sutanny lub ubrania

starych kobiet, długie, brązowe habity, sandały, grube pasy oplątane wielkimi różańcami, a on musi zatelefonować i kazać im zawrócić ten kuter i natychmiast postać go z powrotem po niego.

Przejechawszy cztery mile przez poryty wykopami krajobraz torfowego bagna, dotarł nieoczekiwanie do rozstajów. Na jednym rogu stała pobielana chata, na drugim – naprzeciw niej – budynek wydający się większą chatą, również pobieloną, ale z wielką sto-
dołą za nią. Na drzwiach większej chaty był szyld: „P. McGinn: sprzedaż wina i wódek”. I mniejsza tabliczka po irlandzku: „Telefon”.

Kury zerwały się w przerażeniu, kiedy skręcił gwałtownie na wybrukowane podwórko. Obok przebiegł kogut z rozwianymi koralami, w szalonym strachu wbijając jedno zezowate oko w samochód. Wewnątrz pubu było ciemno jak wieczorem. Dwóch irlandzkich robotników w zatłuszczonych, starych, czarnych garniturach, niegdyś ich odświętnych ubraniach, teraz codziennych kombinezonach, w białych koszulach rozpiętych pod szyją i wysokich do kolan gumiakach. Twarze koloru dżemu truskawkowego podniosły wzrok znad wielkich szklanic czarnego portera. Za

małym kontuarem szeroki jak beczka na deszczówkę mężczyzna w białym, wełnianym golfie wycierał szklanki Inianą ścierką.

— Dobry – powiedział do Kinselli. – Chyba będzie lato.

— Chcę zadzwonić na Muck.

— Nie dodzwonisz się.

— Jestem księdzem. Oczekują mnie.

Truskawkowe twarze robotników pochyliły się jednocześnie w pozdrowieniu, jakby Kinsella dopiero co wszedł do pubu.

— Dobry, proszę księdza – zaśpiewali unisono. Właściciel wyjął spod kontuaru słuchawkę na stojaku z ręczną korbką, zakręcił nią, przemówił językiem, który Kinsella uznał za irlandzki.

— Już, proszę księdza. Proszę tutaj.

Trzeszczący głos z wyspy.

— Co? Co...? Padraig księdza nie zabrał? Ach, toż to katastrofa – świszczący śmiech na linii. – Nie wiedział, że ksiądz jest księdzem? Słodki Boże! Przykro mi, proszę księdza, ale widzi ksiądz tę pogodę, obawiam się, że dziś księdza nie przywieziemy... Co? Co?

Musiał krzyczeć. Trzy twarze przyglądały mu się w tym małym, śmierdzącym chmielem pomieszczeniu.

— Przyślijcie łódź z powrotem! Muszę się tam dostać dzisiaj. To pilne.

— No cóż, proszę księdza, jak tylko poo-goo-daa się poprawi, sły-y-szyyy ksią-ą-ą-dz?

Trzaski zakłóceń. Cisza. Potem głos jakiejś dziewczyny.

— Odcięto księdza. Nawet przy dobrej pogodzie to złe połączenie. Mogę spróbować później, jeśli ksiądz chce.

— Zadzwoń – powiedział i odłożył słuchawkę.

Trzy twarze zwróciły się ku niemu. W przeciwieństwie do ludzi z bardziej cywilizowanych miejsc nie udawali, że nie podsłuchiwali. Truskawkowe policzki zmarszczyły się w wyszczerzonym uśmiechu.

— Tak więc Padraig księdza nie zabrał – powiedział właściciel. – Czy to nie dobre?!

Roześmiali się. Było dobre.

— Ci chłopcy z wyspy, rozumie ksiądz – wyjaśnił właściciel. – Nigdy nie wyjeżdżają, nie mają pojęcia, że księża tutaj są teraz dokładnie tacy jak reszta. Za przeproszeniem, czy ksiądz z Ameryki?

- Tak.
 - Wspaniały kraj. Jutro się ksiądz tam dostanie.
- Chyba się przejaśni.
- Przejaśni się – obiecał jeden z robotników.
 - Ile jestem winien za telefon?
 - Ach nic, nie trzeba.
 - No cóż, dziękuję. Dziękuję bardzo.
 - Do widzenia, proszę księdza.
 - Do widzenia, proszę księdza.
 - Jeszcze raz dziękuję – powiedział Kinsella.

Na zewnątrz na wybrukowanym podwórku kury zygakowały ostrożnie wokół jego stóp. Spojrzał na rozstaje, a tam, zamazując ich zarys, stał kraniec tęczy. Wznosiła się ona łukiem i znikwała w oddali za grzbietem góry. Krople deszczu uderzyły ostrzegawczo. Kury zaczęły szukać schronienia. Nadszedł deszcz i zgęstniał w rzęsistą ulewę. Kiedy Kinsella wycofał się i schronił na progu pubu, zahuczał nad nim grom. Zbierające się nad odległą górą burzowe chmury posuwały się naprzód, by objąć niebo w posiadanie.

Poczuł zimno. Pomyślał o Hartmannie w brazylijskiej dżungli. Poszukał wzrokiem tęczy, ale ta znikła, połykując w tym nagłym deszczu. Pojawiła się,

po czym znikła w tym samotnym miejscu – miejscu, które teraz w ogarniającej je południowej ciemności sprawiło, że pomyślał o krajobrazie z Becketta, o tym miejscu, w którym Vladimir i Estragon mogli czekać na Godota. Tęcza zdawała się kończyć tam, pośrodku białego krzyża utworzonego przez dwie betonowe wstęgi drogi. Kiedyś w takich zjawiskach dopatrywano się znaków ręki Boga. Odwrócił się i wszedł z powrotem do pubu.